

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Jacek Żakowski
Anna Grodzka to dla nas szansa i wyzwanie
- 12 Adam Grzeszak
Co dalej z budową polskich dróg?
- 16 Janina Paradowska
Polityczne drony

ROZMOWY
ŻAKOWSKIEGO

- 18 Aleksander Kwaśniewski
o doradztwie rządowi Kazachstanu, wyprawie z Janem Kulczykiem i Leszku Millerze, który go nie słucha

POLITYKA

- 22 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Orban – argument przeciw Kaczyńskiemu
- 24 Marcin Kołodziejczyk
Kłopot z prof. Pawłowicz

KRAJ

- 28 Joanna Podgórska
Aborcja: wojna przegrana, partyzantka trwa
- 32 Piotr Pytlakowski
Nierozliczona seksafera Samoobrony
- 34 Barbara Pietkiewicz
Kamil udawał w sieci Klarę, dlatego Szymon go zabił

RYNEK

- 36 Joanna Solska
Bezrobotne szpitalne roboty
- 40 Marcin Piątek
Stadion Śląski: niekończąca się budowa

ŚWIAT

- 42 Witold Pawłowski CHINY
Smok, smog i blog
- 45 Agnieszka Mazurczyk
Wieczni następcy tronu
- 48 Jędrzej Winiecki USA
Kobiety na pierwszej linii frontu



18 Kwaśniewski: co komu doradzam



42 Chiny: zmiana władzy w czasach blogerów



74 „Westerplatte” się broni



100 Syberyjscy potomkowie powstańców styczniowych

HISTORIA

- 50 Piotr Pytlakowski
Romaszewscy: rodzina walcząca
- 54 Waldemar Kuligowski
Polska wyprawa kolonialna

NAUKA

- 56 Przemek Berg
Kosmiczne wylęgarnie życia
- 58 Jacek Kubiak
Nasz uczony dokonał przełomu w bioinformatyce

NARTY 2013

- 60 Krzysztof Burnetko
Różne atrakcje narciarskich stacji
- 65 Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM Co się jada na stoku

KULTURA

- 70 Rozmowa z Julitą Wójcik, laureatką Paszportu POLITYKI w kategorii sztuki wizualne
- 73 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 74 Zdzisław Pietrasik
Obejrzyjcie „Westerplatte”
- 78 Dorota Szwarcan
Aktorstwo operowe
- 80 Bartek Chaciński
Moc małych wydawców płyt
- 83 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 84 Tomasz Zalewski
Amerykańska debata o torturach

LUDZIE I STYLE

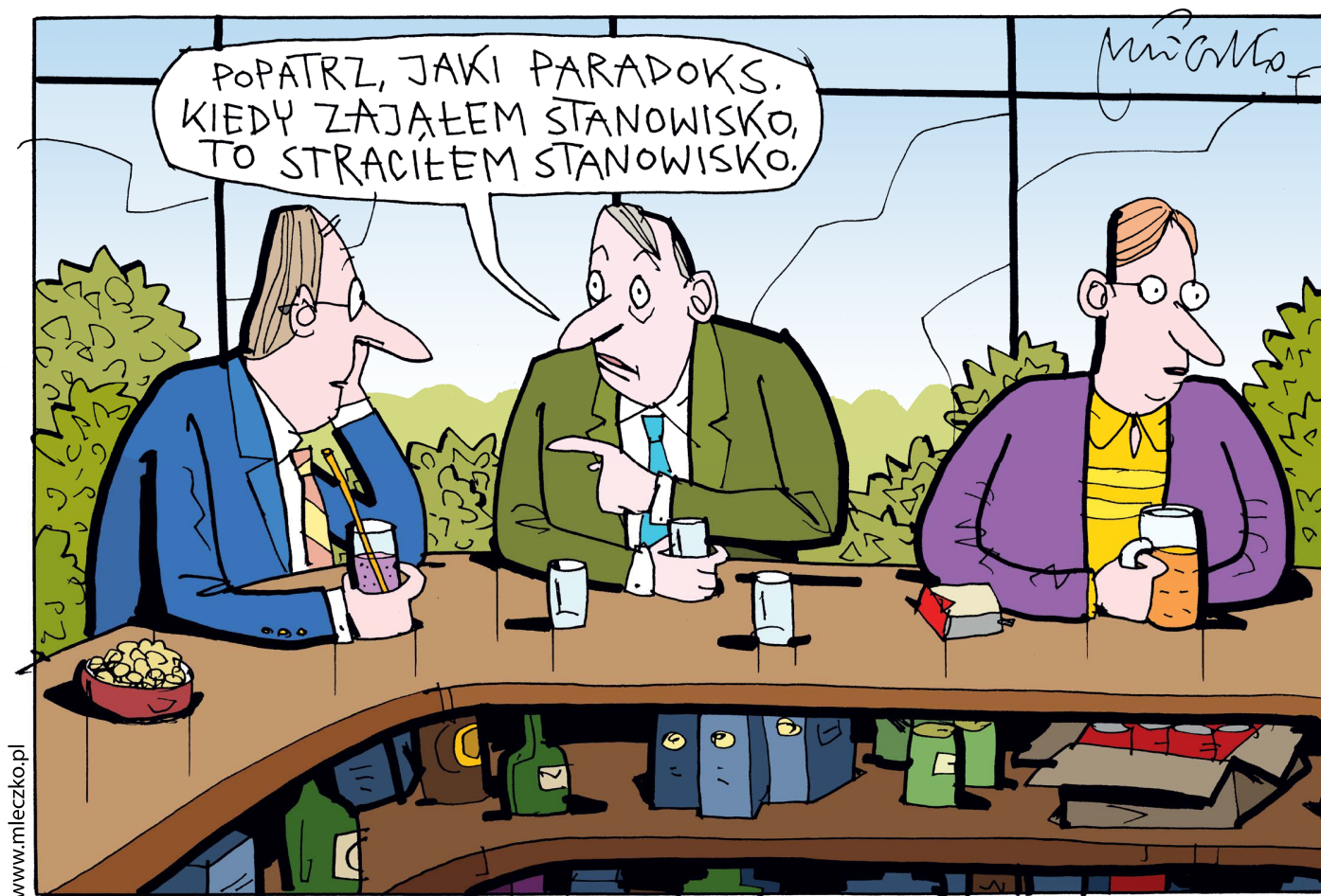
- 88 Barbara Stolarz
„Vogue” od kulis
- 91 Rozmowa z Johnem Elderem Robisonem, inżynierem i pisarzem, o życiu człowieka z zespołem Aspergera

NA WŁASNE OCZY

- 100 Jagienka Wilczak, fotografie Jakub Szymczuk/GN
Polacy z Syberii

STAŁE RUBRYKI

- 5 Mleczek i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz • 94 Passent
- 95 Hartman • 96 Tym • 97 Do i od redakcji • 98 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczko.pl

felieton



sławomir mizerski z życia sfer

Osoby niezgodne z konstytucją

Przy okazji debaty o związkach partnerskich rozgorzał fundamentalny spór o to, jaka rodzina jest lepsza dla pomyślnego rozwoju kraju. Zdaniem prawicy, aby kraj się rozwijał i miał dobre perspektywy, nie ma innej drogi niż tradycyjna rodzina, złożona z ojca, matki i tylu dzieci, ile się da. Tylko taka zgodna z konstytucją rodzina może być podstawą ładu społecznego i dobrobytu. Badania pokazują, że Polacy dysponujący tradycyjną rodziną są z niej bardzo zadowoleni, gdyż w pełni zaspokaja ona ich aspiracje i oczekiwania. Na tym tle lansowana przez liberalne media rodzina oparta na związku partnerskim (przeważnie homoseksualnym) jawi się jako produkt nietrawny i do niczego nieprzydatny.

Ważnym argumentem przeciwników tych związków jest to, że mają one charakter hedonistyczny, a seks uprawia się w nich dla przyjemności. Tymczasem wiadomo, że tradycyjna rodzina nie polega na czerpaniu przyjemności z seksu, ale na tym, żeby sobie jakoś radzić. Dlatego zrównywanie praw związków nastawionych na osiągnięcie przyjemności z seksu i tradycyjnych rodzin, w których o przyjemności trudno, jest niesprawiedliwe. Zwłaszcza że jak się związek komuś znudzi, może go unieważnić i zacząć się zaspokajać w nowym związku, podczas gdy osoba żyjąca w tradycyjnej rodzinie takiej możliwości nie ma i musi się zaspokajać sama, a chyba nie o to chodzi?

W opinii posłanki Pawłowicz związki homoseksualne w ogóle nie mają sensu, gdyż homoseksualiści są dla kraju bezproduktywni. Nie potrafią oni nawet wyprodukować dzieci, które w przyszłości poszłyby do pracy, zostałyby płatnikami podatków i przyczyniały się do powiększenia PKB. Posłanka

Pawłowicz nie kryje również, że homoseksualiści i osoby takie, jak posłanka Grodzka (a zwłaszcza wygląd tej osoby), naruszają jej poczucie estetyki, przez co obniża się jej standard życia. Oczywiście, posłanka Pawłowicz można zarzucić, że jej poczucie estetyki jest zbyt wyśrubowane, ale trudno się temu dziwić, w końcu jako kobieta wrażliwa i wykształcona ma pełne prawo do życia na wysokim poziomie estetycznym.

Niestety, prawo to jest łamane przez istnienie osób takich, jak posłanka Grodzka czy poseł Biedroń. Pawłowicz musi na co dzień obcować z tymi osobami w Sejmie, a obcowaniu temu towarzyszą intensywne myśli o tym, w jak nienormalny sposób współżyją one seksualnie. Przez takie myśli posłanka Pawłowicz ponosi straty moralne oraz nie może skupić się na swojej pracy. Dlatego uważa, że osoby takie są niezgodne z konstytucją i jako Polka ma prawo do tego, żeby takich osób nie było. A jeśli już muszą być, to żeby się przynajmniej leczyły, a nie żądały takich samych praw, jakie mają inni.



© BENOIT TESSIER/REUTERS/FORUM

Timbuktu – manuskrypty ocalały

Bibliofile na całym świecie odetchnęli z ulgą. Kiedy interweniujący w Mali Francuzi odbili z rąk partyzantów Timbuktu, media obiegły informacje, że wycofujący się z miasta islamisci spalili ponad 25 tys. bezcennych manuskryptów, z których duża część miała ponad 800 lat. Na szczęście jednak opiekunowie zbiorów zdążyli przenieść je do kilku położonych daleko od siebie magazynów, a najcenniejsze okazy ukryli. Łupem okupantów padły jedynie **mniej ważne egzemplarze**. Pustynne Timbuktu, wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, długo było najważniejszym ośrodkiem naukowym na kontynencie od czasu spłoneńcia słynnej biblioteki w Aleksandrii. Leżące na przecięciu saharyjskich szlaków handlowych, stało się bogate w XII w., kiedy sól była droższa od złota. Zamieszkiwane przez ponad 30 tys. ludzi miało być większe od niejednej europejskiej metropolii. Gromadzono w nim księgozbiory z zakresu geografii, astronomii, medycyny, historii czy teologii – Timbuktu stało się Oxfordem Afryki i popadło w zapomnienie dopiero po spadkach cen soli.

Francuzi odbili z rąk islamistów już prawie wszystkie kluczowe miasta na północy Mali. Ale sukces może się okazać jedynie pozorny – partyzanci unikali większych starć, wycofując się coraz bardziej w głąb Sahary. Mogą przeczekać ofensywę i uderzyć ponownie, gdy Europejczycy będą zmęczeni.

Rajoy na zakręcie

W Madrycie zaostrza się kryzys polityczny po ujawnieniu nielegalnych datków dla rządzącej Partii Ludowej. Jej czołowi politycy, w tym premier **Mariano Rajoy**, mieli przez 15 lat otrzymywać sówite tajne pensje od przedsiębiorców, głównie z sektora budowlanego. Premier zaprzecza wszystkim zarzutom, ale nastroje są jednoznaczne. Według sondaży, aż 96 proc. Hiszpanów uważa, że polityka w ich kraju jest przeżarta korupcją. Nastroje pogarsza zła sytuacja gospodarcza – bezrobocie sięgnęło 26,1 proc., a PKB spada od pięciu kwartałów.

Ale opozycja nie jest przygotowana do przejęcia władzy. Hiszpańska lewica, zmęczona siedmioletnimi rządami (zakończonymi w 2011 r. przyspieszonymi wyborami), nie ma dziś mocnego przywódcy – poprzedni premier José Luis Zapatero wycofał się z polityki, a jego następca Alfredo Perez Rubalcaba uchodzi za lidera przejściowego. Dlatego ciężko ugodzony Rajoy może próbować utrzymać się na stanowisku; ale możliwy jest też całkowity rozpad sceny politycznej, jak we Włoszech po skandalu korupcyjnym lat 90., bądź powołanie rządu eksperckiego, który – tymczasowo – wzięłby na siebie ciężar koniecznych reform. Ewentualny upadek Rajoya osłabiłby pozycję europejskiej prawicy, w tym kanclerz Angeli Merkel. Dziś to konserwatyści dominują w Europie – 15 z 27 przywódców europejskich wywodzi się z prawicy. Europejska Partia Ludowa, skupiająca europejskich konserwatystów, jest największą frakcją w europarlamencie. Szala nie przechyli się na korzyść lewicy od razu, ale wybory europejskie w 2014 r. mogą zmienić układ sił w Unii.



© APPEAST NEWS

Nie pytajmy ile, tylko na co

Wawrzyniec Smoczyński

komentarz

Donald Tusk w zbroi husarskiej szturmując zastępy płatników netto – taki obraz mógłby namalować w tym tygodniu Jan Matejko. Jeśli wierzyć polskim mediom, premier jedzie do Brukseli „walczyć” o pieniądze dla Polski, a szczyt unijny to „bój” o przyszłość Europy. Rzeczywistość wygląda nieco inaczej – Tusk będzie świadkiem kompromisu między płatnikami, którzy chcą ciąć bardzo dużo (Wielka Brytania), a tymi, którzy chcą ciąć sporo (Niemcy). Beneficjenci mają tu niewiele do powiedzenia, a najmniej Polska, która z następnego budżetu wyjmie najwięcej spośród wszystkich państw Unii. Nawet gdyby Tusk chciał szarżować, nie ma o co kruszyć kopii.

Retorykę walki o unijne pieniądze zapoczątkował Leszek Miller podczas ustalania poprzedniego budżetu. Od tamtego czasu wszyscy premierzy jeżdżą do Brukseli „walczyć”, ale w kuluarach szczytów robią to, co pozostali – handlują, wymieniają ustępstwa za poparcie, budują koalicje, słowem negocjują. Problem pojawia się wtedy, gdy



trzeba wyjść do mediów i pokazać łupy, najlepiej wydarte Niemcom. Jak ostatnio w listopadzie: Tusk wygrał, bo w negocjacjach mógł stracić najwięcej pieniędzy, a wybronił od cięć prawie wszystko. Ale z batalistycznego punktu widzenia przegrał – musiał tłumaczyć się z utraty 1,5 mld euro na flance spójności.

Bitewne opowieści z Brukseli infantylizują debatę w Warszawie. Weźmy budżet: pod koniec tygodnia premier wróci, daj Bóg, z obietnicami 300 mld zł i na tym dyskusja o funduszach europejskich się zakończy. Tymczasem tutaj powinna się dopiero zaczynać – od pytania, jak sensownie wydać te pieniądze, by podbudować konkurencyjność polskiej gospodarki przed wejściem do strefy euro. Z tego należy rozliczać rząd, bo na sposób wydawania funduszy Tusk ma większy wpływ niż na ich łączną wysokość. Ale do tej rozmowy trzeba uzbroić się w wiedzę i przestać rozmawiać o Unii jak o zabawie ołowianymi żołnierzami.

Trujące, bo polskie?

Słowacja poskarżyła się Brukseli na brudne i trujące jedzenie z Polski – i nic dziwnego, bo tamtejsze media od miesięcy nie piszą niemal o niczym innym. Najnowszą falę krytyki wywołało ostrzeżenie polskiego producenta słodczy, że część jego produktów może być skażona trutką na szczury. Wyroby trafiły też do Niemiec oraz Czech i również w tych krajach – zgodnie z zaleceniem producenta – zostały pospiesznym wycofane ze sklepów. Trwa śledztwo, które ma ustalić, czy do skażenia rzeczywiście doszło i kto za nie odpowiada. Ale na Słowacji nikt nie czeka na wyniki śledztwa, media cały czas podają kolejne informacje o tym, że słodczy były trujące, a szef miejscowego sanepidu jeździ po kraju i osobiście sprawdza, czy w większych sklepikach nie ma polskich słodczy. Temat wyraźnie pasuje do słowackich wyobrażeń o Polsce, bo w przypadku kolejnych publikacji nikt już nawet nie sili się na sprawdzanie faktów, tylko powiela niesprawdzone informacje.

Skąd bierze się ta zadziwiająca słowacka awersja wobec Polaków? – pyta w konserwatywnym tygodniku „Tyždeň” Alena Akacsova. „Polskie” stało się synonimem czegoś, co jest podrzędnej jakości i szkodzi zdrowiu. „Czyżbyśmy utknęli w latach 80., kiedy komunistyczna propaganda podsuwała nam obrazki Polaków stojących w nieskończonych kolejkach po jakiegokolwiek jedzeniu?” – pyta Akacsova. I przypomina, że – jakkolwiek polskie wyroby spożywcze są rozmaite, od tanich po luksusowe – Słowacy importują i chcą kupować tylko te najtańsze. Nikt już nie pamięta skandalu z niemieckimi ogórkami i bakterią *E. coli*, ale za to każdy zna przykład z polską solą czy polskimi lodami – „jakkolwiek te drugie jedli tylko Polacy, a nie my”.

Kandydaci na przemiał



© CYPRUS MAIL

Cyprijczycy musieli oddać na przemiał 575 tys. kart do głosowania, szykowanych na wybory prezydenckie – i wydrukować nowe. Rząd chce obciążyć kosztami kandydata **Andreas Efstathiou**, przez którego całe to zamieszanie. Otóż umieścił on obok swego nazwiska, niczym tytuł szlachecki, logo rekordów Guinnessa (ciekawość, że dopuszcza to cyprijskie prawo wyborcze). Fakt, rzeczywiście trafił do tej książki: z suknią ślubną, której tren miał 1362 m długości. Ale później pobił go Holender Lichel ven den Ende 2488-metrowym trenem – i Guinness kazał wycofać swoje logo. Efstathiou tłumaczy, że jak się kiedyś zdobyło medal olimpijski, to po latach go przecież nie zabierają. Tak czy inaczej, chyba właśnie niechcący pobił nowy rekord.

Na Kubie jak w „Misiu”

Do 21 razy sztuka. Tyle wniosków o wydanie paszportu złożyła przez ostatnie kilka lat **Yoani Sanchez**, najbardziej znana kubańska dyssydentka i autorka czytawanego na całym świecie bloga „Generacion Y”. Zjadliwej krytyczce władzy zawsze odmawiano wystawienia białej karty, czyli jedynej na świecie wizy wyjazdowej, wprowadzonej zaraz po rewolucji w 1959 r. Ale na początku stycznia, w ramach reform, które mają uzdrowić ledwie zipiącą komunistyczną gospodarkę, dokument został zniesiony – rząd ma nadzieję, że liczni emigranci zarobkowi będą przysyłać do domu bardzo potrzebne na wyspie dolary. Do urzędów jeszcze przed świtem ustawiają się więc kolejki, bo chociaż biała karta przeszła do historii, to paszporty wciąż wydaje się jak w „Misiu” Barei. Sanchez złożyła wniosek o wyjazd bez większych nadziei, bo zgodnie z łatwymi do nadinterpretacji przepisami dokumentu można nie wydać, jeżeli wyjazd jego posiadacza „godzi w interes narodowy”. Jednak ku swojemu zaskoczeniu blogerka paszport dostała. I teraz ma kłopot, bo jak wyjedzie, może nie móc wrócić.



© EPA/PAP



© APPEAST NEWS

Komisja za kasę

Izrael i argentyńscy Żydzi są wściekli, że Buenos Aires dogadało się z Teheranem. W La Plata mieszka największa diaspora w Ameryce Łacińskiej, boleśnie skrzywdzona podczas ataków na miejscowe **żydowskie centrum kulturalne** – w 1994 r. zginęło 85 osób i setkę raniono. Dwa lata wcześniej wybuch w ambasadzie Izraela zabił 29 osób. Wszystko wskazuje, że chociaż obie akcje przeprowadził libański Hezbollah, to sponsorem i prawdziwym mózgiem operacji był Iran. Jednym z głównych podejrzanych jest obecny minister obrony, a napiętych stosunków nie polepszyło to, że kilka lat temu argentyński ambasador w Teheranie został przyłapany na szmuglowaniu perskich zabytków.

Teraz Argentyna i Iran podpisały porozumienie o utworzeniu wspólnej komisji śledczej, dzięki której Latynosi będą mogli po raz pierwszy pojechać na Bliski Wschód i przesłuchać podejrzanych oraz świadków. Izrael uważa, że komisja to farsa, która formalnie pozwoli Iranowi się wybielić, bo ten nigdy nie zgodziłby się na takie przedsięwzięcie, gdyby nie był pewny swego. Buenos Aires też ma swój interes w całej sprawie. Argentynę trawia coraz większe kłopoty finansowe, więc z premedytacją ignoruje sankcje gospodarcze nałożone na Iran i jest już siódmym największym eksporterem towarów do tego kraju.

Ziobrowie unikają sądu

Rodzina Ziobrów utrudnia rozpoczęcie sądowego procesu lekarza, którego oskarża o to, że przyczynił się do śmierci Jerzego Ziobry. Oskarżony, krakowski kardiolog zabiegowy prof. Dariusz Dudek, stał się w sądzie już trzykrotnie, ale akt oskarżenia wciąż nie został mu odczytany. – Wyznaczone były już trzy terminy rozpraw: 4 grudnia 2012 r. oraz 22 i 24 stycznia 2013 r. Na pierwszy z terminów spośród oskarżycieli nie stawiał się brat Zbigniewa Ziobry, na drugi nie stawiała się jego matka i on sam, a na trzeci termin nie stawiał się żaden z oskarżycieli – mówi sędzia Beata Górszczyk, rzeczniczka Sądu Okręgowego w Krakowie, przed którym ma rozpocząć się proces. Nieobecność na ostatniej rozprawie były minister sprawiedliwości usprawiedliwił grypą i wysoką gorączką, przysyłając do sądu zwolnienie wystawione przez francuskiego lekarza. Sąd rozstrzygnie o ważności tego wystawionego za granicą dokumentu. Stan zdrowia nie przeszkodził jednak **Zbigniewowi Ziobrze** wystąpić już trzy dni później na konwencji swojej partii, Solidarnej Polski, w Warszawie. Problemy z dotarciem do sądu ma też matka Ziobry. Ona również przedstawiła zaświadczenie, że nie może się stawić ze względu na stan zdrowia. Sędzi Agnieszce Pilarczyk zależy na szybkim rozpoczęciu procesu, bo, jak poinformowała na ostatniej rozprawie, przeciągającą się sprawą interesuje się Ministerstwo Sprawiedliwości. Dlatego sędzia dołożyła wszelkich starań, aby doprowadzić Krystynę Kornicką-Ziobro do sądu. – Lekarz uznał, że oskarżycielka posiłkowa może zeznawać, pod warunkiem, że na salę rozpraw zostanie dowieziona karetką i będą przy niej lekarze pogotowia. Sąd zapewnił takie warunki – poinformowała Pilarczyk. Sąd jednak nie mógł skontaktować się z matką braci Ziobrów. Młodszy syn Witold twierdził, że nie może dodzwonić się na telefon komórkowy matki i że nie zna jej numeru stacjonarnego.

– Mój klient ma kalendarz wypełniony operacjami i wykładami z zakresu kardiochirurgii, ale stawia się na każdym procesie, bo zależy mu na wyjaśnieniu sprawy, która nawet nie może się rozpocząć, bo, jak widać, oskarżyciele nie mogą dotrzeć do sądu – mówi mecenas Krzysztof Bachmiński reprezentujący prof. Dudka.

Razem z profesorem oskarżonych było jeszcze trzech innych lekarzy z krakowskiego szpitala uniwersyteckiego. Pozew w krakowskim sądzie złożyła rodzina zmarłego, po tym jak prokuratura dwa razy (czyli już prawomocnie) umorzyła śledztwo. Śledczy uznali, że lekarze nie przyczynili się do śmierci Jerzego Ziobry. Krakowski sąd umorzył sprawę wobec wszystkich, ale po złożeniu przez Ziobrów zażalenia utrzymał, jednak tylko wobec prof. Dudka, zarzut: „zaprzestanie podawania leku i związanego z tym pogorszenia stanu zdrowia pacjenta Jerzego Z.”. Co ciekawe, jak mówi mecenas Bachmiński, z karty leczenia wynika, że pacjent nie zaprzestał zażywać leku, ale oskarżyciele opierają swój zarzut na anonimie, który dotarł do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdy kierował nim Zbigniew Ziobro, oraz na zeznaniach lekarza Macieja Klimy, który za rządów PiS był wojewodą małopolskim, a dziś jest senatorem partii Zbigniewa Ziobry.

Rodzina Ziobrów złożyła wniosek o kasację wyroku sądu wobec trójki lekarzy, czym Sąd Najwyższy ma się zająć 14 marca. Proces prof. Dudka przed krakowskim sądem odroczono do 30 marca. Krystyna Kornicka-Ziobro uzasadniała wytoczenie procesu, mówiąc: „wierzę, że dzięki wyjaśnieniu tej sprawy innym pacjentów nie spotka to samo i będą mogli cieszyć się życiem”. Aż trudno uwierzyć, że rodzina Ziobrów włożyła tyle energii, by zaangażować 10 lekarzy z trzech kontynentów w celu ustalenia, dlaczego w krakowskim szpitalu zmarł Jerzy Ziobro, a tak trudno dziś jej stawić się na rozprawę przed krakowskim sądem. (Dąb.)



© PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

SP prawie jak PiS

Wniosek PiS o wotum nieufności dla rządu Donalda Tuska nie będzie miał większego znaczenia dla rządu, jest natomiast niewygodny dla Solidarnej Polski. Ziobrystom trudno będzie poprzeć kandydata PiS prof. Piotra Glińskiego, bo byłby to argument za tym, żeby partię rozwiązać i wrócić do Jarosława Kaczyńskiego. Ale bronić Tuska też będzie niezręczne, ziobryści – tak sądzi poseł SP Ludwik Dorn – wstrzymają się więc pewnie od głosu. Będzie to jedno z nielicznych głosowań, w których SP pokaże odrębność od PiS. Na ponad 1500 głosowań w tej kadencji ziobryści w 83 proc. naciskali guziki identyczne jak ich sąsiedzi w sali sejmowej z PiS. Stowarzyszenie Mam Prawo Wiedzieć zbadało dla POLITYKI także zachowanie ziobrystów w głosowaniach kluczowych – takich, które dotyczyły np. stanowiska wobec projektów ustaw w trzecim czytaniu, spraw personalnych i wniosków o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu. Takich głosowań było 367. I tylko w 19 z nich ziobryści mieli stanowisko przeciwne niż PiS. – Jesteśmy z PiS w opozycji, więc głosujemy często identycznie przeciw projektom koalicji,

tak samo jak SLD czy Ruch Palikota. A w części spraw mamy podobne do PiS poglądy, np. trudno, żebyśmy głosowali za związkami partnerskimi. Warto też zauważyć, że nawet w sytuacji konfliktu PiS-PO wiele ustaw przechodzi ogromną większością głosów, a zdarza się, że jednomyślnie – tłumaczy Dorn. I dodaje: – Różnice czasem wychodzą. PiS był przeciw niektórym naszym poprawkom bu-

dżetowym, co było dziwne, zważywszy, że były zgodne z jego programem.

Dla PiS, walczącego o rozbić Klubu Parlamentarnego SP, sprawa jest jasna. – Te dane dowodzą, że ta partia powstała głównie po to, żeby zaspokoić ambicje kilku osób. Nie ma innych przesłanek, żeby istniała – komentuje rzecznik PiS Adam Hofman. – Ziobryści od początku istnienia szukali sposobu, jak się odróżnić od PiS, ale takiej niszy jeszcze nie znaleźli. Po co prawicowi wyborcy mieliby głosować na Solidarną Polskę, skoro jej postulaty wyraża wielki, bijący się o władzę z PO konkurent? – zwraca uwagę były polityk PiS.

(WBS)

190 razy Komisja Europejska zawieszała wypłaty w ostatnich dwóch latach, w Polsce tylko dwukrotnie. Bywało, że zawieszenia obejmowały wszystkie programy w danym państwie – np. w Czechach, Austrii i Francji. Nawet w Niemczech zastrzeżenia dotyczyły w 2011 r. jednej czwartej programów. Polska na tym tle wypada bardzo dobrze – w I kw. 2012 r. na 20 programów doszło do zawieszenia wypłat zaledwie w trzech. Francja miała w tym czasie 15 zawieszeń, Czechy – 14, Hiszpania – 12. Ryzyko zawieszenia dotyczyło tylko 1,5 proc. funduszy dla Polski, podczas gdy średnia w Unii wynosiła 3,1 proc.

O dotacjach na drogi s. 12.



Finansowe zapasy

© REUTERS/FORUM

Po ubiegłotygodniowej prezentacji zmian w finansowaniu związków sportowych na większość środowiska padł błąd strach. Przekaz autorów reformy z Ministerstwa Sportu był jasny: nie stać nas na utrzymywanie wszystkich, musimy wybrać. W gronie dziewięciu dyscyplin kluczowych znalazły się: lekkoatletyka, pływanie, kajakarstwo, wioślarstwo, żeglarstwo, kolarstwo, zapasy, podnoszenie ciężarów oraz narciarstwo klasyczne. Minister Joanna Mucha zapowiedziała, że sporty uznane za mniej ważne społecznie i słabo rokujące medalowo na igrzyskach olimpijskich będą wspierane w ograniczonym zakresie.

Trudno autorom reformy nie zarzucać powierzchowności w ustalaniu dyscyplin strategicznych. Nie jest żadną tajemnicą, że zapasy zostały uznane za kluczowe przede wszystkim dlatego, że **Damian Janikowski** zdobył w Londynie brązowy medal. I że judo też by trafiło do elitarnej grupy, gdyby Paweł Zagrodnik nie stracił olimpijskiego brązu wskutek skandalicznej, krzywdzącej decyzji sędziów. Cięcia dotkną przede wszystkim związki ledwo wiążące koniec z końcem. Nie dziwi oburzenie prezesów, na których wymuszono zaciskanie pasa, gdy jednocześnie program siatkarskich ośrodków szkolnych, który ruszył w ubiegłym roku, już kosztował budżet państwa 43 mln zł, a jego kontynuacja pochłonie około 10 mln zł rocznie. Dla porównania – na utrzymanie czterech ośrodków szkolenia młodzieży w judo idzie rocznie 450 tys. zł.

O 20 proc. mniejsza dotacja dla federacji boks czy badmintona, mających w ubiegłym roku budżety w wysokości 2,1 mln zł, to nie to samo co 10-procentowe cięcie dla lekkoatletyki (16 mln w 2012 r.), kajakarstwa i wioślarstwa (po 10,3 mln). Właściwie dla badmintona i boks taka decyzja oznacza walkę o przetrwanie. A z poziomem szkolenia w boksie chyba nie jest tak źle, skoro w ubiegłym roku polskie pięściarki zdobyły na mistrzostwach świata trzy medale. Bad-

mintonowy duet Nadia Zięba-Robert Ma-teusiak był w Londynie o włos od awansu do strefy medalowej – również dzięki temu, że kilka lat temu działacze postawili na pracę ze szkoleniowcami z Azji, która w tej dyscyplinie sportu jest potęgą.

Drżą też inne związki, ustawione decyzją ministerstwa w dalszych szeregach, ponieważ teraz istotnie ograniczona zostanie swoboda w wydawaniu pieniędzy. Wszystko z powodu zwiększenia (średnio do 40 proc., wcześniej było to około 10 proc.) w budżecie każdego ze związków puli środków pochodzących z funduszu rozwoju kultury fizycznej. Zgodnie z obowiązującymi zasadami można je przeznaczać tylko na sport młodzieżowy (zawodników do 23 roku życia) oraz inwestycje w infrastrukturę. Są związki, jak np. lekkoatletyka albo pływanie, bez mrugnienia okiem sponsorujące przygotowania i starty w mistrzowskich imprezach zawodników, którzy światową czołówkę już dawno stracili z pola widzenia – więc mają z czego ciąć. A z drugiej strony judo, strzelectwo czy badminton

większość skromnych środków przeznaczały na swoich najlepszych kadrowiczów, a szkolenie juniorów z konieczności zrzucały na kluby.

Ministerstwo zapewnia jednak, że nic nie jest dane raz na zawsze. Związki, które opracują sensowne programy szkolenia, mogą liczyć na dodatkowe środki. W tegorocznej rezerwie ministerstwa jest 15 mln zł. Dość radykalny ton, w jakim wypowiedziała się minister Mucha, był zresztą pewną prowokacją. Teraz w ministerstwie trwa bowiem dyskretna obserwacja: kto się na nowy podział środków obraził i biadolili, a kto spieszy się ustawić w kolejce do wiceministra Tomasza Półgrabskiego (głównego architekta zmian), by walczyć o swoje, kto lobbuje wśród członków sejmowej komisji sportu, a kto zakasał rękawy w poszukiwaniu sponsorów.

Reforma w gruncie rzeczy sprowadza się więc do apelu o bardziej sensowne wydawanie pieniędzy, które w wielu związkach się marnują. I to wcale nie dlatego, że utrzymanie działaczy i personelu pochłania majątek (zgodnie z wytyczną ministerstwa tzw. obsługa zadań nie może wynieść więcej niż 20 proc. środków przeznaczonych z resortu, w praktyce rzadko się zdarza, by przekroczyła 15 proc.). Albo z powodu traktowania związków jak biur podróży (imienna lista członków zagranicznych delegacji musi być zatwierdzona przez ministerstwo). Najwięcej pieniędzy w polskim sporcie przepada, bo prezesi starają się o względy swojego elektoratu. Stąd objęcie centralnym szkoleniem przeciętniaków, bo tak chce trener albo prezes jakiegoś klubu – późniejszy wyborca na zjeździe.

Swoją drogą ciekawe, jaki będzie ostatecznie podział budżetowych środków na 2014 r.? To nam powie wiele o faktycznym przebiegu rywalizacji związków sportowych o pieniądze.

MARCIN PIĄTEK

Jan Koza



© JAN KOZA

Czarna Anna

Anna Grodzka to szansa i wyzwanie. Dla tradycyjalistów. Dla konserwatystów. Dla Sejmu. Dla naszej kultury. I dla każdego z osobna. Trzeba będzie dźwignąć.



JACEK ŻAKOWSKI

Homoseksualistów zrozumieć łatwiej. Mężczyźni zwykle wolą blondynki, niektórzy brunetki, a najmniej liczni – mężczyźni. Podobnie kobiety wolą przystojnych i bogatych, niektóre wybierają umięśnionych, mądrych lub dowcipnych, a najmniej liczne pociągają kobiety. To jakoś pasuje do mechaniki naszego stereotypowego myślenia. Trudniej zrozumieć pana, który stał się panią. Lub na odwrót. Naturalny odruch jest taki, by uznać to za przebieżankę, kpinę z płci, seksu i przyrodzonego porządku.

W sensie społecznym sprawa jest tym trudniejsza, że prawie każdy prywatnie zna osobę lub osoby homoseksualne, bo jest ich kilka procent w populacji. Od kiedy lesbijki i geje przestali się ukrywać, każdy może się na własne oczy przekonać, że są to ludzie jak inni. Transseksualiści są grupą tak nieliczną, że większość z nas nigdy takiej osoby nie spotka. A wszystko, co nieznane, budzi naturalny niepokój, od którego blisko do niechęci, odrzucenia, wrogości. Co gorsza, nie tylko w klasyce, ale nawet we współczesnej kulturze popularnej nie istnieją mosty, które by połączyły ogół z transseksualną mniejszością. Poza tabloidami w prasie i telewi-

zji, które osławiają nas z taką odmiennością, opowiadając o niej w dość specyficznym, sensacyjnym, służącym bardziej zdziwieniu niż rozumieniu, sosie.

I nagle staje przed nami Anna Grodzka. Spokojna, stonowana, nawet wyciszona, bez cienia tego świętego zapału, który jest typowy dla grup emancypujących się i wychodzących z szafy. Nie wychodzi z szafy, bo nigdy do niej nie weszła. Nie robi coming-outu. Po prostu zjawia się w Sejmie. Staje przed nami i mówi: Jestem! Jesteśmy! Nie pyta nawet: Co wy na to? Zachowuje się, jakby zawsze tu była. Jakby w jej obecności nie było nic niezwykłego. Zwyczajnie jest.

Wykształcona, pracowita, kulturalna, inteligentna, bezpośrednia, myśląca logicznie, racjonalnie, sensownie. Górząca nad większością posłanek i posłów umiarem, powściągliwością, życzliwością dla innych, kulturą wypowiedzi i bycia. Przez rok życia na sejmowym widelcu nie wdała się w pyskówkę. Na zaczepki nie odpowiada. Nikogo nie obraża. Nie wywołuje emocji niczym poza swoim istnieniem. Doskonale rozumie, że dla większości samo jej pojawienie się jest wystarczającym wyzwaniem.

Dobrze wie, jakie robi wrażenie. Jej fizyczność budzi u innych niepokój. W poprzednim wcieleniu był z niej kawał chłopa. Kobieta jest ogromną. Grube, męskie rysy. Niski głos. Bary. Wielkie, silne dłonie. Trudno by było bardziej wyraziście zilustrować dramat transseksualności, czyli niezgodność między płcią fizyczną i emocjonalną.

Nie da się o Annie Grodzkiej powiedzieć, że rzuca rękawicę naszemu tradycjonalizmowi, bo trudno się w jej zachowaniach dopatrzeć choćby cienia agresji. Ona nie rzuca wyzwania, ona nim jest. Ale od kiedy wygrała wybory w konserwatywnym Krakowie i pojawiła się w Sejmie, rękawica leży przed wszystkimi. Teraz – kiedy stanęła jej kandydatura na wicemarszałka – nie da się już ominąć jej łukiem. Ani udawać, że Grodzka nie istnieje. Każdy musi po swojemu tę rękawicę dźwignąć. Fakt, że wielu z nas jest na to gotowych, pokazuje drogę, jaką odbyliśmy w ostatnich dwóch dekadach. Zwłaszcza w drugiej dekadzie III RP, kiedy środowiska mniejszości seksualnych się zorganizowały, zamieniły szafę na Paradę Równości i stały się przedmiotem publicznych kontrowersji. A szczególnie w 2012 r., kiedy – głównie za sprawą Ruchu Palikota – w Sejmie pojawili się przedstawiciele egzotycznych dla wielu Polaków grup. Radykalne feministki, Afropolak (z PO), działacz gejowski, obrońcy konopi i Grodzka.

Dla polskiej otwartości na inność – mówiąc po chrześcijańsku: dla naszej miłości bliźniego – jest to przełomowa chwila w trwającej dwie dekady szybkiej ewolucji. Jej tempo uchwycił Światowy Sondaż Wartości w trzech polskich pomiarach z 1989, 1997 i 2005 r. (wyniku ubiegłorocznego badania jeszcze nie ogłoszono).

Kiedy kończył się PRL, trzy czwarte Polaków uważało homoseksualizm za nieakceptowalny. 15 lat później ta grupa zmalała do mniej niż połowy. Rozwodów w 1989 r. nie akceptował co trzeci badany. 15 lat później – co piąty. Podobnie zmieniał się stosunek do eutanazji, prostytucji, nieślubnych dzieci, przedmałżeńskiego seksu. Dzięki wolności Polacy nabierali empatii i tolerancji. Tylko stosunek do aborcji ewoluował w przeciwnym kierunku za sprawą językowego triumfu Kościoła, którego propaganda skutecznie zrównała przerwanie ciąży z zabójstwem.

W każdym przypadku liberalizacji poglądów większości towarzyszyła radykalizacja bojowych ultratradycjonalistycznych i ultraprogresywnych mniejszości. Jest to prawidłowość nadganianych przez nas emancypacji, które w Ameryce i Europie Zachodniej dokonują się od ponad dwóch stuleci. Kto się jako Polak poczuł upokorzony słowami posłanki Pawłowicz i rechatami jej partyjnych kolegów, powinien w ramach patriotycznej terapii jak najprędzej zobaczyć wchodzącego właśnie do naszych kin „Lincolna”. Bo Spielberg opowiada tam nie tyle o Lincolnie, ile o kluczowym epizodzie jego prezydentury, którym było uchwalenie u schyłku wojny secesyjnej słynnej 13 Poprawki, znoszącej niewolnictwo.

Spółeczno-polityczna mechanika procesu jest zaskakująco podobna. Spielberg ma szczęście, że nie jest Polakiem, bo w życiu by się nie oczyścił z zarzutu uprawiania w tym filmie gejowskiej propagandy. Izba Reprezentantów – jak Sejm – rechoce i wyje, kiedy obrońcy niewolnictwa snują istic gowinowskie apokaliptyczne wizje historycznej kaskady, w której po wyzwoleniu byli niewolnicy dostają prawo głosu w wyborach, a potem (o zgrozo!) także prawo kandydowania. Nawet abolicjoniści mają przerażenie w oczach, kiedy słyszą, że pewnego dnia jakiś czarny mógłby zasiąść w Kongresie. A po nim może też kobieta. Szczęśliwie, to już nikomu nie mieściło się w głowie, bo pewnie jeszcze kilkadziesiąt lat niewolnictwo hamowałoby urbanizację i uprzemysłowienie Ameryki.

Jak ktoś ma bystre oko, wśród pokazanych przez Spielberga wymiętych kongresmenów odnajdzie ideowych bliźniaków posłanki Pawłowicz, ministra Gowina, Stefana Niesiołowskiego.

Premier Tusk też tam jest. Każdy go znajdzie bez trudu. Teatr historii jest jak sztuka Szekspira, którą każde pokolenie odgrywa w swoich kostiumach i obsadza swoimi aktorami. Ale najciekawsze jest to, że dokładnie jak teraz, najbardziej bezrozumne, szowinistyczne paskudztwo nieodmiennie uprawiane jest na rachunek Boga, który kazał miłować bliźniego i w imię tradycji, która ma być niezmienna.

Problem z tradycjonalistami i tradycjonalizmem jest stale ten sam. Zawsze i wszędzie, jak daleko byśmy nie zajrzeli w przeszłość, tradycjonaści stawiają opór historii, która bezlitośnie zmienia rzeczywistość. Raz nazywają siebie demokratami (jak w Ameryce Lincoln), raz republikanami (jak w Ameryce Obamy), innym razem patriotami, nacjonalistami, konserwatystami albo liberałami, katolikami, lewicą, prawicą. Problem jest zawsze ten sam. Jedni popierają lub akceptują zmiany, bo liczą, że dzięki nim świat stanie się lepszy. Inni je powstrzymują. Instynktownie albo dlatego, że boją się coś stracić. A zmiany są nieuchronne. Ale też ich skutki i dynamika są nieuchronnie inne, niż wyobrażają sobie ich zwolennicy i przeciwnicy.

Nie pamiętam, czy w „Lincolnie” Spielberga któryś z tradycjonalistów straszył, że emancypacja czarnych skończy się oddaniem mandatu kongresmena koniowi lub małpie, jak z właściwym swemu środowisku chrześcijańskim miłosierdziem piła posłanka Pawłowicz w związku z obecnością Anny Grodzkiej w Sejmie. Ale nikomu, nawet Lincolnowi, nie przyszło do głowy, że zaledwie półtora wieku później Afroamerykanin będzie prezydentem, a wśród demokratów w Kongresie (kiedyś do upadłego broniących niewolnictwa) większość stanowić będą kobiety i kolorowi, czyli grupy, które w czasach wojny secesyjnej nie śmiały marzyć o prawach wyborczych.

Półtora wieku później dobrze już jednak widać, jaką cenę płać społeczeństwa, które powstrzymują zmiany pod presją tradycjonalistów. Stany, które zniosły niewolnictwo najwcześniej (Vermont, Massachusetts, New York), rozwijały się szybciej i są nieporównanie bogatsze od tych, które broniły go najdłużej (jak Alabama albo Luizjana). Podobnie jak europejskie państwa, które wcześniej zlikwidowały pańszczyznę (Prusy), lepiej się rozwijały niż te, które zwlekały (Rosja). I podobnie jak dziś, szybciej się rozwijają te kraje, które dalej zaszły w emancypacji kobiet oraz mniejszości seksualnych.

Miedzy wolnością, równouprawnieniem, równością, tolerancją a rozwojem krajów jest bezpośredni związek, który można historycznie wykazać. To działa w obie strony. Rozwój sprzyja równouprawnieniu, a równouprawnienie sprzyja rozwojowi. Po 20 latach szybkiego rozwoju Polska zbliżyła się do istotnego kroku w sprawie równouprawnienia. Takiego jak otwarta obecność mniejszości seksualnych w polskiej polityce, a może nawet związki partnerskie. To może dać istotny impuls rozwojowy polskiej gospodarce, kulturze i tożsamości. Bo kultura, która się nie zmienia, wiednie i zamiera, a tożsamość, która się nie odnawia, trafia do skansenu i znika.

Tradycjonaści, jak zawsze w takich sytuacjach, boją się konsekwencji zmiany. Dobrze ich rozumiem. Każda społeczna zmiana ma dobre i złe strony. Ale historyczna prawidłowość jest taka, że ci, którzy wcześniej akceptują zmianę, mogą ją racjonalnie planować i mają z niej więcej dobrego, a ci, którzy zbyt długo się opierają, na końcu pękają pod presją i wymuszone zmiany przynoszą im więcej złego. Takie jest doświadczenie ostatnich 2 tys. lat w Europie.

To są wystarczające powody, bym chciał zobaczyć laskę marszałkowską w ręce Anny Grodzkiej. Zwłaszcza że mamy dużo szczęścia, bo niesie ona nie tylko przekaz symboliczny, którego Polsce potrzeba, ale też kompetencje kulturowe, emocjonalne oraz intelektualne, których w polskiej polityce brakuje.

Sylwetka Krystyny Pawłowicz s. 24,
20 lat sporu o aborcję s. 28.



Zemsta Irlandczyków

Wstrzymanie wypłaty 3,5 mld zł z kasy UE to znalazł się w poważnym kryzysie. Do końca

ADAM GRZESZAK

Z całym szacunkiem sugeruję, by Komisja podjęła działania przeciwko polskim władzom za nieprzestrzeganie praworządności w ramach UE. Na podstawie dowodów, które zgromadził SIAC na A4 i doświadczeniach innych wykonawców na innych projektach drogowych, Komisja nie może mieć pewności, że jakiegokolwiek środki UE na budowę dróg są zarządzane w sposób zgodny z prawem. Sądzę, że Komisja powinna zamrozić dalsze finansowanie polskich projektów drogowych do czasu, aż praktyka niewłaściwego administrowania zostanie usunięta” – napisał w sierpniu 2012 r. Pat the Cope Gallagher, irlandzki poseł do Parlamentu Europejskiego, w liście do komisarza UE ds. polityki regionalnej Johannes Hahn.

Pismo, do którego udało nam się dotrzeć, dało początek polskim kłopotom z unijnymi pieniędzmi. Opisuje historię SIAC Construction Limited, irlandzkiej spółki budowlanej, która wspólnie z firmami z polskiej Grupy PBG (PBG, Hydrobudowa, Aprivia) budowała odcinek autostrady A4 między Tarnowem a Dębicą. Po bankructwie PBG, jesienią ubiegłego roku, doszło do konfliktu między inwestorem, czyli Generalną Dyrekcją Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA), a irlandzką spółką. GDDKiA uznała, że SIAC się guzdrze, wypowiedziała więc umowę i zażądała wypłacenia 44 mln zł gwarancji z tytułu nienależytego wykonania kontraktu.

SIAC stwierdził, że to on odstąpił od umowy jako pierwszy, bo GDDKiA nie wywiązywała się ze swoich obowiązków. Szef spółki na konferencji prasowej tłumaczył, że polski państwowy inwestor żądał od niego rzeczy niemożliwych. Zilustrował to przykładem sprawy kości zwierzęcych i chemikaliów znalezionych na terenie przyszłej autostrady. Usuwanie podobnych odkryć z terenu prac (także znalezisk archeologicznych, niewypałów itd.) nie należy do wykonawcy, ale inwestora. GDDKiA zajęło to 14 miesięcy, a mimo to nie zgodziła się na wydłużenie czasu inwestycji – twierdził Finn Lynden, szef SIAC. Irlandczycy próbowali sądowo zablokować egzekucję ich gwarancji bankowej, ale ponieśli porażkę. Sprawa nie jest ostatecznie zakończona.

Bardzo podobnie potoczyły się losy innego irlandzkiego wykonawcy, spółki SRB budującej (także wspólnie z PBG) autostradę A1 w województwie kujawsko-pomorskim. Tu także doszło do rozstania i nie wiadomo, kto zdecydował się na to pierwszy. Sprawę rozstrzygnie sąd.

Dobrze, że nas kontrolują

Irlandzkie firmy SIAC i SRB nie należą do europejskich gigantów. Dla nich straty, jakie poniosły w Polsce, nie będą łatwe do przełknięcia. Dlatego postanowiły poruszyć niebo i ziemię. Na ich wniosek nad sytuacją w Polsce debatowało w Wiedniu Europejskie Stowarzyszenie Budowlane (EAC). W ich obronie stanął także irlandzki premier Enda Kenny, który dwukrotnie wysłał listy do Donalda Tuska. Irlandczycy skierowali też oficjalną skargę do Komisji Europejskiej. Sprawą zajęła się Barbara Linehan, znana w Brukseli wpływową lobbystką. Jak dziś widać, nie bez sukcesu.

Komisja Europejska już w listopadzie zareagowała na skargi irlandzkich firm przekonujących, że GDDKiA

nie chwilowe nieporozumienie, ale sygnał, że polski program budowy dróg i autostrad tego roku być może uda się dokończyć drogi na Euro 2012. Co dalej? Nie wiadomo.

nie potrafi zarządzać dużymi projektami drogowymi. Zarządzono kontrolę wykorzystania środków unijnych. Przedstawiciele KE rozpoczęli w Polsce audyt, przesłuchiwanie świadków, kontrolę dokumentów. Już wówczas było wiadomo, że może to grozić wstrzymaniem unijnego dofinansowania. Ze strony ministra transportu i GDDKiA padały jednak zapewnienia, że nie mamy się czego bać, bo wszystko jest we wzorowym porządku. Nawet dobrze, że nas kontrolują, bo zobaczą, jak należy wydawać unijne pieniądze. Wśród analizowanych spraw był przypadek podejrzenia zмовы cenowej, jakiej w 2009 r. miało się dopuścić 10 menedżerów z firm drogowych we współpracy z dyrektorem warszawskiej dyrekcji GDDKiA. Sprawa znana i wielokrotnie opisywana, o której polski rząd informował też Komisję Europejską, nie została jeszcze zakończona. Akt oskarżenia trafił do sądu, a inkryminowane firmy prowadzą budowę.

Decyzja o wstrzymaniu dofinansowania, na razie dotycząca trzech odcinków, na których mogło dojść do zмовы przetargowej, choć ujawniona w ubiegłym tygodniu, zapadła jeszcze w grudniu. Potwierdza to najgorsze obawy: audyt, choć jeszcze niezakończony, nie wypada dobrze. Komisarz Hahn zrobił bowiem to, co sugerował mu europoseł Pat Gallagher. Polskim ministrom, Sławomirowi Nowakowi i Elżbiecie Bieńkowskiej, którzy w trybie pilnym pojechali do Brukseli, obiecał, że pieniądze odblokuje, ale dopiero wtedy, gdy Polska uporządkuje i uszczelni procedury inwestycji drogowych.

– *Sprawa podejrzenia o zмовę cenową wykonawców autostrad to tylko pretekst. W rzeczywistości problem jest poważniejszy i dotyczy całego programu budowy dróg i autostrad. Obawiam się, że zagrożone jest nie tylko 3,5 mld zł, ale dużo większe kwoty, jakie Unia wypłaciła już GDDKiA. Być może będzie trzeba je zwrócić* – twierdzi Tomasz Latawiec, prezes Stowarzyszenia Inżynierów Doradców i Rzeczoznawców.

Sprawa idzie o wielkie kwoty. – *Z ogólnej sumy około 40 mld zł, które do końca 2015 r. są przeznaczone dla Polski, uzyskaliśmy z Komisji Europejskiej już 27,5 mld zł. Wystąpiliśmy o kolejne 3,5 mld zł, które zostały czasowo zablokowane. Do końca obecnej perspektywy finansowej mamy jeszcze do zrefundowania przez KE ok. 12 mld zł (dodając do tego 3,5 mld zł, o które już wnioskowaliśmy)* – wyjaśnia Łukasz Jóźwiak z biura generalnego dyrektora GDDKiA.

NIK ocenia negatywnie

Tomasz Latawiec jest doradcą firm drogowych i przedsiębiorstwem GDDKiA. Nęka dyrekcję żądania, w trybie dostępu do informacji publicznej, dokumentów związanych z programem budowy dróg i autostrad. GDDKiA nie bardzo się do tego kwapi, ale Latawiec występuje do sądu i dokumenty uzyskuje. Ich lektura pozwala zrozumieć, dlaczego administracja wołałaby trzymać je w szafie. Potwierdzają one wiele zarzutów, jakie firmy drogowe stawiają Generalnej Dyrekcji. Także raporty NIK pokazują niski poziom zarządzania GDDKiA. Nie ujądo uwagi także komisarzowi Hahnowi.

„Najwyższa Izba Kontroli krytycznie ocenia przygotowanie oraz realizację budowy zachodniej obwodnicy Poznania w ciągu drogi S11” – czytamy w jednym z ra-

portów. Potem są szczegóły, w tym m.in. i taki, że oddział GDDKiA przekazał wykonawcy do realizacji błędny projekt, w którym dane dotyczące wysokości posadowienia wiaduktu wobec istniejącego torowiska były podane w dwóch odmiennych systemach odniesień przestrzennych, wobec czego nie miały szans się spotkać. „Ustalono, że Oddział przekazał wykonawcy dokumentację, która nie była w pełni zatwierdzona do realizacji” – czytamy dalej. „Oddział zobowiązał się doprowadzić do przebudowy kolidujących z drogą ekspresową S11 sieci energetycznych. (...) Oddział nie dotrzymał tego terminu...”. W kolejnych wystąpieniach pokontrolnych NIK z innych inwestycji znajdujemy podobnie krytyczne opinie. „NIK negatywnie ocenia przygotowanie oraz terminowość realizacji drogi ekspresowej S2 w Warszawie odc. Konotopa–Puławska wraz z odcinkiem Lotnisko–Marynarska”. „NIK ocenia przyjęcie przez Oddział wadliwej i niekompletnej z punktu widzenia celu, jakiemu miała służyć i interesów GDDKiA, dokumentacji projektowej”. „Wydatki środków publicznych na sfinansowanie przesłony jet grouting w kwocie 146 mln zł NIK ocenia jako poniesione z pominięciem kryterium gospodarności” itd.

W raportach pojawiają się też adnotacje, mające wprowadzić charakter informacyjny, które potwierdzają zarzut firm budowlanych, że GDDKiA mocno ociąga się z regulowaniem rachunków za wykonane prace. „Rze-

czowe zaawansowanie prac 97 proc., wydatkowano kwotę 629,9 mln zł (42,2 proc.)”. „Wydatkowano 15 proc. środków, zaawansowanie prac 68 proc.”, czyli ok. 40 proc. bieżących kosztów wykonawca musi pokrywać z własnej kasy.

– *Wymuszanie przez GDDKiA kredytowania inwestycji przez wykonawców doprowadziło*

wiele firm do bankructwa. Kilkadziesiąt tysięcy osób straciło już pracę – ocenia Wojciech Malusi, prezes Ogólnopolskiej Izby Gospodarczej Drogownictwa.

Fenomen epidemii upadłości, która dotknęła branżę budownictwa drogowego w efekcie programu budowy dróg i autostrad, jest stałym przedmiotem sporu pomiędzy administracją rządową a drogowcami. Sprawa ta pojawia się też w liście Gallaghera do komisarza Hahna. Europejski parlamentarzysta zwraca uwagę, że we wszystkich krajach, gdzie był realizowany wielki program budowy dróg (np. w Hiszpanii), firmy drogowe miały szansę urosnąć. U nas odwrotnie – uległy zniszczeniu.

Szef GDDKiA Lech Witecki lekceważy problem. Zbankrutowało tylko 6 proc. firm realizujących inwestycje drogowe. Kto był nierozsądny i proponował nie realnie niską cenę, upadł. Kto umiał liczyć i szacować ryzyko, ma się dobrze. – *Przykładem oddana do ruchu w 2012 r., zrealizowana za 65,1 proc. kosztorysu inwestorskiego, obwodnica Mińska Mazowieckiego, która* ►

Europejski parlamentarzysta

Gallagher zwraca uwagę, że we wszystkich krajach, gdzie był realizowany wielki program budowy dróg, firmy drogowe miały szansę urosnąć. U nas odwrotnie – uległy zniszczeniu.

► **dała oszczędność 304 mln zł** – wyjaśnia Liliana Zając z biura prasowego GDDKiA.

– Gratuluję dyrektorowi Witeckiemu dobrego samopoczucia. Na kontrakcie wartym 600 mln zł konsorcjum wykonawców poniosło stratę 30 mln zł – komentuje prezes Malusi, przypominając, że te 6 proc. upadłości dotyczy generalnych wykonawców. Podwykonawców nikt już nie liczy. Tomasz Latawiec dodaje zaś, że choć obwodnica Mińska została dopuszczona do ruchu, to w dokumentach brakuje wyniku obowiązkowego audytu bezpieczeństwa ruchu drogowego, w związku z czym z jej refinansowaniem z unijnych środków może być problem. Sprawa ta jest przedmiotem śledztwa prokuratorskiego. Zresztą śledztwo toczy się więcej. W tym także w sprawie budowy A2 przez chiński COVEC.

Z punktu widzenia prezesa Latawca poważnym problemem jest ubezwłasnowolnienie inżyniera kontraktu. Teoretycznie niezależny inżynier powinien czuwać,

Budowa węzła Czerniewice pod Toruniem. W prace przy tym odcinku autostrady A1 zaangażowana była m.in. irlandzka firma SRB.



© TYTUS ZMIJEWSKI/PAP

Ile pieniędzy będzie w tym roku na drogi? Mówi się, że w sumie 15 mld, w tym 3 mld z budżetu. Reszta – z obligacji Krajowego Funduszu Drogowego i Unii. Ale ile da Unia, nie wiadomo.

by inwestycja powstawała w zgodzie z zasadami sztuki inżynierskiej. W praktyce GDDKiA zastrzega, że w najważniejszych sprawach inżynier nie może podjąć decyzji bez zgody urzędnika z dyrekcji. A ten tnie koszty, bo tego od niego wymagają. To także jeden z zarzutów, jakie Irlandczycy wytoczyli Polsce. Takich spraw jest coraz więcej: firmy drogowe zaskarżyły w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości polskie przepisy o wykluczaniu oferentów z przetargów i wygrały. Polska zbankotowała jednak wyrok ETS i zmian w przepisach nie wprowadziła. Co na to powie komisarz Hahn?

Nadzieja w fotoradarach

Marek Michałowski, prezes Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa, powtarza, że z pobudek politycznych GDDKiA urządziła wyścig szczurów, zmuszając firmy budowlane do składania zaniżonych ofert, a potem brutalnie egzekwując ich realizację.

Branża upomina się o preselekcję kandydatów i odejście od ceny jako jedynego kryterium rozstrzygania przetargów. GDDKiA nie mówi nie, ale wszystkie przetargi są wciąż ogłaszane według systemu najniższej ceny. – Jeśli w postępowaniu przetargowym podajemy, że dodatkowym kryterium jest gwarancja, to każdy wykonawca podaje w ofercie maksymalny okres, a jeśli termin realizacji, to wszyscy wykonawcy podają termin minimalny. W tej sytuacji najlepszym obiektywnym kryterium staje się cena – wyjaśnia Liliana Zając z GDDKiA.

– Nie ma żadnej współpracy między inwestorem a wykonawcą. Jest nieustający konflikt, ze szkodą dla inwestycji i dla publicznej kasy – twierdzi prezes Malusi, który proponuje, by szef GDDKiA, który lubi się chwalić, ile udało mu się wycisnąć z wykonawców, policzył, ile trzeba dołożyć, by niedokończone inwestycje skończyć. I o ile wydłuży to ukończenie prac. W wielu przypadkach do dziś nie udało się znaleźć zastępców. Tak jak z odcinkiem A4 Tarnów–Dębica po Irlandczykach. Na drugi irlandzki odcinek A1 wyłoniono wstępnie już wykonawcę – mało znaną włoską firmę. Trwa jednak sprawdzanie jej wiarygodności, by znowu nie było wpadki.

– Wyhamowały nowe przetargi. Z trudem wylaniane są firmy do dokończenia zadań zerwanych w 2012 r. Nowe, duże i obiecane projekty (m.in. most Grota, warszawska wylotówka na Katowice i Kraków oraz obwodnica Marek) są opóźnione, bo przetargi są na jeszcze gorszych warunkach dla firm – komentuje Adrian Furgalski, ekspert w dziedzinie infrastruktury z Zespołu Doradców Gospodarczych TOR. Dodaje, że GDDKiA postanowiła docisnąć pedał do oporu. Jeśli wcześniej wykonawcy narzekali, że przerzucane jest na nich wszelkie ryzyko i za niemal wszystko czekają ich kary (jeden z wykonawców musiał zapłacić 50 tys. zł za to, że na parkingu przed biurem budowy miejsce zarezerwowane dla GDDKiA było zajęte), to jeszcze zatęsknią za dawnymi czasami. Kary będą za wszystko. – Jeśli wykonawca przebudowy warszawskiego mostu Grota-Roweckiego nie zdąży w terminie, będzie musiał zwrócić państwu 700 mln zł dotacji unijnej – wyjaśnia Furgalski.

Jeśli dobrze pójdzie, do końca roku może uda się skończyć drogi, które miały być oddane przed Euro 2012. Co będzie dalej? Premier w swoim tzw. drugim exposé wyliczył kilka dużych inwestycji drogowych, które w tym roku mają ruszyć, a przynajmniej wejść w fazę przetargu. W tym najważniejszy dla całej sieci autostradowej odcinek A1 z Tuszyna do Pyrzowic. Nie bardo jednak wiadomo, skąd wziąć na to pieniądze (ok. 6 mld zł). Pomysł, by budować go w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego, upadł, bo możemy mieć kłopoty z unijną statystyką długu publicznego. Z budżetem też mamy kłopot – na budowę dróg krajowych zaplanowano 3 mld zł. Krajowy Fundusz Drogowy, który wcześniej emitował obligacje, teraz będzie miał coraz większe problemy z ich obsługą. Już grozi mu załamanie i zapewne bez pomocy Banku Gospodarstwa Krajowego nie przetrwa. Mówi się o 15 mld zł, jakie uda się w tym roku wygospodarować na drogi, ale mało kto w to wierzy. Co gorsza, wciąż nie wiadomo, ile pieniędzy dostaniemy z UE w ramach nowego budżetu 2014–20.

– Nie należy wykluczać także, że zarzuty wobec polskiego programu drogowego zostają wykorzystywane celowo, przed batalią o unijny budżet – przekonuje Furgalski. Szansą jest 1,5 mld zł z fotoradarów, jakie mają trafić na budowę dróg. Cała nadzieja, że nie zabraknie ofiarnych kierowców, którzy z poświeceniem naciśną pedał gazu.

ADAM GRZESZAK